

11
Autor: Bogumiła DZIEKAN
REDAKCJA LITERACKA

(3X)

Rereme

WOJEWÓDZKI OŚRODEK KULTURY I PRASY
PUBLICZNY W BYDGOSZCZY
zezwala się
na wypożyczenie
Nr. P-9
15 X 1970
data _____ podpis _____

CZERWONY KAPELUSZ

Ogromnie lubiła wyobrażać sobie, że jest kimś zupełnie innym. W miarę upływu lat przychodziło jej to jednak coraz trudniej, co z niesmakiem wręcz stwierdziła. Dawniej, w okresie nader nudnej młodości, nie potrzebowała do tych o sobie wyobrażeń żadnych rekwizytów, wystarczyło, że owa chwila nadchodziła i ~~ułapięła ją~~ na przykład na środku ulicy, by przybierała przedziwne pozy, prostowała się nagle, aż do bólu, zaczynała stąpać ostrożnie, w jej pojęciu z niesłychanym wdziękiem stawiając swoje przykrótkie nogi, które w takich momentach przyjmowały długość wprost nadprzyrodzoną, ~~z~~ mrużyła oczy w przeświadczeniu iż czynić to musi, bo gęste jak puszcza rzęsy zmuszają ją do tego. Odpowiednio upozowana sunęła przez miasto nie odpowiadając na ukłony zdumionych współmieszkańców, którzy zresztą prędko do tych dziwactw przywykli, choć bynajmniej nie była to aprobata - czy zrozumienie. Z łatwością mogła ignorować otoczenie będąc właśnie zagraniczną turystką polskiego pochodzenia, która łaskawie odwiedziła to miasteczko tak wielkie, że stojąc na łące przed miastem, poprzez główną ulicę widziało się, jak przez

tunel, łąkę na drugim jej krańcu.

Niewyczerpana była w pomysłach dotyczących przemian w sławne pianistki, sławne aktorki, a jeszcze jako dziecko, zaraz po wojnie, przez długi czas była drugą sławną Emilią Plater i bez trudu utwierdzała się w przekonaniu, że bez jej interwencji Niemcom jednak trudno byłoby przegrać wojnę. W każdym razie zapaszek unoszący się wokół sławy towarzyszył tym reinkarnacjom i był ich częścią zasadniczą. Stopniowo jednak mieszkanie w starym domu, może najstarszym domu tego miasta, gdzie płodzili dzieci jej dziadkowie i gdzie także pomarli, wdychanie stęchlizny panoszącego się wszechwładnie grzyba, idiotycznie uśmiechnięci przodkowie w żółknących na ścianie fotografiach i niezmieniona pozycja pomocy biurowej, kiedy jej koledzy i koleżanki szafowali na lewo i prawo swoimi dyplomami magisterskimi, utrudniły nieco jej radosne odmiany. W niezmiernie rzadkich i skrzętnie zabijanych chwilach realizmu, myślała o tych awansujących kolegach bez cienia zawiści, ale ze smutkiem, że ~~to los, ten który, jak do tego dawna już doszła,~~ przeklął absolutnie całą ~~rodzinę, chciałoby się~~ ~~powiedzieć już w łonie matki, że ten los, bo los jest przecie,~~ ~~jeden, choć niektórych z niewiadomych przyczyn kopie, innych głaszc~~

Jej opinię co do owego przekleństwa podzielali skrzętnie nie-
liczni krewni, z których żaden nie zginął śmiercią bohaterską,
a wszyscy uniknęli obozu, nikt nie popełnił samobójstwa, nie
został dyrektorem banku, a żadna z ciotek nie miała nieślubnego
dziecka, choć wszystkie kochały wiernie: raczej bez wzajemności,
tak, że niewiadomo było czy są dziewicami czy nie.

Pewnego upalnego popołudnia szczególnie męczył ją przypływ
realizmu, włączyła więc wszystkie znane jej sposoby by zrzucić
skórę, lecz czuła się tak, jak człowiek z wysoką temperaturą
usiłujący zbić ~~też~~ wyłącznie siłą ducha. Wtedy zobaczyła na
wystawie ogromny czerwony kapelusz, którego falującą powierzchnię
zdobił biały kwiat. Kapelusz kształtem i ~~wielkością~~ przypominający
pomidor. Obie dłonie o grubych, nieporadnych paluchach położyła na
szybie wystawowej i przywarła wzrokiem do tej czerwoności, która
nagle odmieniła jej świat. Kupno kapelusza stało się koniecznością,
więc do transakcji przystąpiła bezzwłocznie i z ekscytującym
drżeniem. Z głową przemyślnie udrapowaną, pełna dziwnych doznań,
usiłująca zatrzymać owe drżenie, które ją tak cudownie nawiedziły,
wyszła dumnie z czeluści sklepu w upalną jasność ulicy, by
posuwistym krokiem sunąć ku rozpoczynającej się erze rekwizytów.

Jakże ją jednak bolało, że jej współmieszkańcy ową erę przyjęli bez wielkiego entuzjazmu, chciałoby się nawet powiedzieć, że z całkowitym jego brakiem, a w końcu zaświtała jej myśl przelotna co prawda, że są wrogo ~~i nieprzychylnie~~ nastawieni do niej w ogóle, a do tych kapeluszy, toreb, długich do ramion koronkowych rękawiczek, w szczególności. ^{możny} Wtedy przypadek dał jej nowe emocje w postaci wyjazdu do Stolicy.

Od tej pory celem życia stały się podróże, na które skrzętnie zbierała pieniądze, odmawiając sobie z trudem wielkim, i w zupełnym rozdarciu, kupna rekwizytów, które teraz mnożyły się i podsuwały się jakby same, własnym ożywione życiem, pod jej umęczone chęci. A to kołysały się wdzięcznie na nylonowym sznurku złociste i czarne, a także rude jak rdza, sztuczne włosy, wijące się loki lub plecione warkocze, to kiedyś dostrzegła wracając nocą do domu, błyszczącą w świetle księżyca gitarę, a już bezustannie widziała siebie w długich do ramion kolczykach, które przez ^{parę} ~~dość~~ ^{parę} ~~długi~~ czas były centralnym punktem wystawy wyrobów Jablonexu. Jednak tamto było ważniejsze, ten wyjazd, ~~to~~ ^{to} urzeczywistniane dwa razy do roku marzenie.

97

Stopniowo ~~jednak~~ i radość z powodu przyjazdu do Warszawy, bo wyłącznie to miasto odwiedzała, jakby zbladła, czy rozproszyła się, walczyła jednak niczym Don Kichot z widmem samotności, które siedziało na ławce w parku, wychynęło nagle spoza pomnika Chopina, kiedy siedziała w Łazienkach patrząc nieruchomo w równie zastygłą postać Mistrza, a czując się aktualnie ożywioną panią Sand miotaną namiętnościami - i właśnie ta walka, ten sprzeciw groźnemu widmu, przywiódł ją do kina, w którym po chwili poznała jego. Film był kolorowy, szeroko-ekranowy i wszystko co z niego zapamiętała to były trawniki, strzyżone nisko i wyżej, z rabatami klombami i bez, trawniki pozbawione drzew i trawniki soczyście zielone z drzewami i cieniami. Zapamiętała to przez skojarzenie, bo kiedy wyszli z kina, zaprowadził ją na takie właśnie miejsce, trawa lśniła w świetle latarni, po niedawnym deszczu, gdzieś gdzie leżał we wdzięcznej pozie zóżyty liść, a jej się zdawało, że to jest dalszy ciąg filmu, na którym sąsiad ku jej zdumieniu bez przerwy patrzył na nią zamiast na ekran, a jej się to zdawało i dziwne i zarazem słuszne. Oczy jego miały jakieś ciepło, więc w pewnym momencie spojrzęła w nie dłużej i wtedy, przez ulotny

moment miała wrażenie, że potężna siła palnęła ją całą mocą w piersi, trochę powyżej żołądka i uderzenie to wyzwoliło w niej, czy zrodziło jakąś niesłychanie twardą, niezniszczalną skałę, która była ze wszystkich boków, w środku i na zewnątrz zaufaniem.

Toteż, kiedy po seansie ów pan przedstawił się, a nazwisko jego, wypowiedziane zresztą przez właściciela głośno i z naciskiem, nie było jej obce, poszła z nim na to przedłużenie filmowych trawników, i pozwoliła się całować i obłapiać, myśląc z wielkiego oddalenia,

bo aktualnie szybowała w chmurach: zakochał się biedak. Przed hotelem, do którego ją odprowadził przestępowała z nogi na nogę przedłużając rozstanie, czekała bowiem na słowa o miłości, co prawda wiedziała, że ją kocha, ale to, że milczał, raczej ją niepokoiło.

Zapytała więc co będzie dalej. Najpierw zachnął się, potem jednak wymienili adresy, a wreszcie on patrząc w bok powiedział:

- No cóż moja droga, jesteśmy jak robaczki, czasem stykają się ich drogi. Obserwowałeś może mrówki, z dwóch krańców lasu, w pewnym punkcie, jak najbardziej przypadkowym spotkają się na chwilę, przystaną, by zaraz się rozejść.

Mówiąc to obrazował pięknymi rękami, te drogi i te mrówki, nawet lasy, i ręce jego na tle kolorowych neonów wyglądały - choć tak ruchliwe - jak śnięte ryby. I z obrazem owych zwierząt i mrówek i ryb, zostawił ją przed hotelem. ~~Jak gdyby dym czarny opadł na miasto, a w tych ciemnościach ona skupiła się i pomacała, chcąc doszukać się tej skały, która wykluła się w niej w kinie. Była nienaruszona, twarda i nie do zniszczenia.~~

Korespondencja poruszała się leniwie niczym woda w zatęchłym bajorku i już w nastroju podobnym do lęku znowu wsiadła do pociągu. Zadzwoniła do niego i trzymając słuchawkę, nagle zupełnie jasno, ujrzała dzielącą ich przepaść, te wszystkie różnice społeczne i inne, uświadomiła sobie, że nie zna jego życia, najgorsza jednak była jej zarozumiałość, która jej się w tym momencie wydała bezwstydną i już już miała opuścić słuchawkę - co prawda zwlekała bardzo - kiedy usłyszała jego głos.

W pewnej chwili po spotkaniu nie mogła uwierzyć, że to właśnie on jest tym, który zaprzęta jej myśli, ale kiedy nieoporną zawlókł do swego mieszkania, gdzie bez większych ceregieli ciągle zdumiona, aczkolwiek ochotna, oddała mu się, wtedy wiedziała już, że to na pewno on.

Chciała mu jednak dać znacznie więcej, choć on jakby się upierał tylko przy tej jednej rzeczy i robił wrażenie, że nie zależy mu na tym, że ona na siłę ściąga medalik i daje mu na ~~pi~~ pamiątkę, idealnie ignorując jego niewiarę, a także wpycha mu w prezencie ów magiczną siłę posiadający czerwony kapelusz.

Uraczył ją w zamian opowiadaniem, które prześladowało ją potem w bezsenne noce, a którego sensu z maniackim uporem nie chciała pojąć.

- Oto pewien samotny mężczyzna w dżdżystą niedzielę wydzwania do znajomych w nadziei, iż śmiertelna nuda jaka szarpie nim wszechwładnie, ustąpi pod wpływem jakiejś znajomej twarzy. Zastaje w domu koleżankę, kobietę kulturalną, oboje są kulturalni, która ucieszona jego telefonem zaprasza go do siebie. Nudzą się teraz wspólnie w pięknym, nowoczesnym mieszkaniu, spełniają akt miłosny bez większego przekonania i radzi, że upiorną niedzielę mają poza sobą, rozstają się. Deszcze przestał padać. -

Przez cały czas opowiadania słyszała miarowy jednostajny szum ulewy, widziała każdy sprzęt tamtego mieszkania i nogi tej pani, podobne do jej nóg...

Zimą na pocieszenie kupiła sobie długie wyszarżane boa z piór, wystawione ku uciesze całego miasta w komisie.

Niezmienna była tylko skała wyłoniona tak nagle w kinie i ona to, jak drogowskaz, znów przywiodła ją do tego miasta. Może pod wpływem słońca, bo wiosna nareszcie nastąpiła po zimie ponurej i długiej jak smutek po śmierci bliskiej osoby, może z innych jakichś przyczyn mających swoje neurasteniczne źródła w niej samej, zaczęła się prężyć i rozrastać, a radość tajemnicza, ale zarazem bardzo konkretna oblewała ją, przenikała i ogrzewała jak wiązka promieni.

Po podróży spała bez snów, co jej się zdarzyło chyba pierwszy raz w życiu, obudziła się wcześnie i miasto w słońcu - ów nastrój w którym zasnęła, jeszcze utwierdziło.

Wystrojona w letnią suknię z falbanami, owinięta koralami, z ufarbowanymi włosami - czarnymi jak rozpacz, biegała po ulicach odurzona radością, która drżała i dźwięczała nieustannie jak skrzypce. Przystanęła na widok dwóch drzew magnolii kwitnących biało i zachęcająco na dziedzińcu uniwersyteckim.

Czając się - bo powaga tego miejsca i rozsadzający ją szacunek - zmusił ją do podstawy czyhającego na zdobycz kota - usiadła na

ławce, zapadając ni to w sen ni to w widzenie, niczym jakaś świecka święta. To świątko już od wczoraj jej towarzyszące jakby się spotęgowało, a w środku owych cudowności, przeniknięta ową skałą, do której on przytwierdzony był niczym polip, kołysała się ona i te magnolie. I ze wspomnieniem tych doznań poszła na spotkanie.

- Moja kochana, dziwna, wierna, dobra - powiedział na przywitanie, schylając się głęboko nad jej pulchnymi rękami.

I oprócz wszystkich innych świąteł rozbłysło w niej przeświadczenie, że ona posiada w nadmiarze to, co jemu tak bardzo jest potrzebne, więc przystąpiła bezzwłocznie do obdzielania go swymi wewnętrznymi treściami i było tak, jakby pękła jakaś zapora tamująca te wszystkie słowa o miłości, tęsknocie i kochaniu w ogóle.

Jej wzruszenie udzieliło się i jemu, na krótko co prawda, bo nagle zmienił temat i rozwodził się dość długo o pogodzie.

Dziwnym zbiegiem okoliczności znów znaleźli się przed dziedzińcem, przed magnoliami i ona odruchowo stanęła. Wtedy z wielką tkliwością wziął jej rękę i uścisnął serdecznie, a ona zrozumiała jak bardzo się myli i jaka dzieli ich rozległość.

89

Tymczasem on zobaczył na ławce swojego znajomego, w kierunku którego wysterował niczym ku zbawczemu ładowi. Był już wieczór, wyjątkowo piękny, co zgodnie stwierdzili wszyscy troje, po czym równie zgodnie milczeli, ale ona wyczuła, że milczenie tego obcego pana jest przychylnie. Zaskoczeniem więc było i dla niej i dla tego świeżo poznanego, kiedy on wybuchnął ni stąd ni zowąd. Nie umiałaby powtórzyć tego, na wielkim wewnętrznym crescendo wyrzucanego monologu, w każdym razie: prowincja, nahałne dziewczyny, bezwstydne dziewczyny z tejże prowincji, czyhające na mieszkanie w stolicy - i kobiety i dziewczyny, były tematem tego wybuchu. Nieznajomy pan skręcał się jak pijawka posypana solą, jej wirowały magnolie, łącznie z obu panami i całym kompleksem budynków uniwersyteckich. Wybaczenie - powiedziała łagodnie i cała w przepraszających uśmiechach - zaraz wróce.

Szła ulicami popychana przez niecierpliwych przechodniów, odchodziła coraz dalej, aż znalazła się na jakiejś pięknej, szerokiej i pustej ulicy. Na rogu stał sprzedawca balonów, Balony były kolorowe, mieniły się w zachodzącym słońcu. Obserwowała je z uwagą, potem zbliżyła się i kupiła trzy, te najbardziej jaskrawe, i puszczała je wolno jeden za drugim.

Stała teraz na rozkraczonych, grubych nogach, z głową zadartą do góry i patrzyła na kołyszące się w pięknym powietrzu wieczora balony, jak na utracony, daleki raj.